

Rok 1939 w janowskiej stadninie

Andrzej Krzyształowicz

Nastrój w polskim społeczeństwie od początku 1939 r. był różny. Z jednej strony czytało się i słyszało o coraz bardziej agresywnej polityce hitlerowskiej III Rzeszy, z drugiej niejednokrotnie buńczuczne wypowiedzi napawające optymizmem „nie oddamy nawet guzika”. Niemcy zagarnęli część Czechosłowacji, Austrię, coraz głośniej dopominali się o Gdańsk i dostęp do Prus Wschodnich (tzw. korytarz). Wszystkie te wiadomości wprowadzały stan niepewności i uzasadnionego niepokoju. Odczuwali to również pracownicy Państwowej Stadniny Koni i Państwowego Stada Ogierów w Janowie Podlaskim. Grozę sytuacji najbardziej odczuwali pracownicy pamiętający pierwszą wojnę światową, a takich wówczas było jeszcze wielu.



Stajnia Zegarowa zbudowana ok. 1848 roku wg projektu architekta Henryka Marconiego - 1920 r.

Chętnie gromadzili się przy radioodbiorniku ulokowanym w tzw. świetlicy, w małym pomieszczeniu w stajni „czołowej”. Wątpliwości, co do prawdopodobieństwa wybuchu wojny, rozwiła częściowa mobilizacja marcowa. Ze stadniny i stada zostało powołanych kilkunastu masztalerzy - rezerwistów.

Zanim przystąpię do opisu wydarzeń, jakie nastąpiły w wyniku wybuchu wojny, podam kilka szczegółów dotyczących stadniny i stada ogierów. Obok Państwowej Stadniny Koni (PSK) w Janowie Podlaskim znajdowało się Państwowe Stado Ogierów (PSO). Ze stadniną dość luźno związane było gospodarstwo rolne tzw. Wygoda, które na rzecz stadniny produkowało siano i niedużą ilość owsa i marchwi, jak również utrzymywało tartak, a przy nim małą elektrownię i cegielnię na potrzeby własne.

W stadninie były wówczas trzy działy hodowlane koni. Najliczniejszy był półkrwi angloarabskiej, mniej liczny - półkrwi arabskiej i najmniejszy - czystej krwi arabskiej.

Kierownikiem stadniny był Stanisław Pohoski, zastępcą kierownika autor niniejszego artykułu, obowiązki lekarza weterynarii pełnił, po śmierci K. Pohla, miody absolwent Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie Tadeusz Gruszka (umarł w 1952 r.).

Praktykantem był Adam Sosnowski, w biurze było trzech pracowników, długoletnim sekretarzem stadniny, w dzisiejszej nomenklaturze głównym księgowym, był Romuald Koźniewski, koniuszym był zwolniony z wojska wachmistrz Stanisław Więcek, podkoniuszym Witalis Bielecki, oraz około czterdziestu masztalerzy. W. Bielecki był po II wojnie dyrektorem stadniny w Kadynach, a następnie w Walewicach. Przy stadninie w Janowie istniał od 1937 r. zakład treningowy dla młodych ogierów półkrwi.

Kierownikiem tego zakładu był emerytowany pułkownik kawalerii polskiej do 1918 r. w armii rosyjskiej) Walenty Jachimowicz (zginął wraz z jedynym synem w obozie koncentracyjnym w Dachau w 1941 r.). Państwowym Stadem Ogierów kierował w tym czasie Tadeusz Marchowiecki, koniuszym był Jan Stasiak, doskonały ujeżdżacz koni w zaprzęgu. Karierę swoją zaczynał w stajni admirała floty bałtyckiej w Petersburgu przed I wojną światową. W PSO było również ok. 40 masztalerzy. Stan ogierów wynosił ok. 125, przeważnie półkrwi.'

W maju 1939 r. wybuchła w stadninie angina, początkowo u sysaków, rozszerzyła się jednak na roczniki starsze. Pomimo wysiłków lekarza T. Gruszki, wspieranego przez doświadczonego lekarza wet. Jana Wilczyńskiego z lecznicy z Łosic (rzekomo pierwszej w Polsce), padło 14 koni i do końca sierpnia 1939 r. choroba nie wygasła.

Nastroje wśród załogi i okolicznych mieszkańców były coraz gorsze. Wiadomości podawane przez radio były coraz bardziej pesymistyczne, zagrożenie ze strony hitlerowskich Niemiec stawało się coraz

bardziej realne i coraz bliższe.

W końcu sierpnia kierownik PSO Janów otrzymał poufne polecenie z Ministerstwa Rolnictwa przygotowania w okolicach Siedlec kwater dla ewentualnie ewakuowanego Państwowego Stada Ogierów ze Starogardu. Również stadnina otrzymała polecenie dokonania zakupów i zrobienia zapasów „na wszelki wypadek”: nafty (światła z sieci w Janowie nie było), żelaza, podków, smarów do wozów konnych (w PSK i PSO nie było żadnego samochodu ani ciągnika) itd. W dniu 23 sierpnia spaliła się z nieustalonych przyczyn część tzw. stajni rozjazdowej stadniny (kolokrzyża). Ogólnonarodowa psychoza podejrzewania każdego obcego za dywersanta lub niemieckiego szpiega, budziła często nieuzasadnione emocje. Pożar stajni był szeroko interpretowany jako wynik działania „piątej kolumny”. Powszechna mobilizacja 30 sierpnia, która znowu uszczupliła załogi PSK, PSO i gospodarstwa rolnego, spowodowała znaczny wzrost podniecenia i niepewności o najbliższą przyszłość.



fot. Marian Gadzalski

W tak trudnym momencie zabrakło w Janowie kierownika S. Pohoskiego, który został delegowany przez Ministerstwo

Rolnictwa na Wszechzwiązkową Wystawę Rolniczą do Moskwy, z której wrócił w dniu 3 września. Przez teren zabudowań stadnin, przebiegała droga publiczna łącząca Janów Podlaski połączeniem promowym z wioskami położonymi na prawym brzegu Bugu (byłe województwo poleskie). Mieszkańcy tych wiosek za Bugiem już w przeszłości sprawiali sporo kłopotów kierownictwu stadniny, choć kilkunastu masztalerzy PSK i PSO rekrutowało się spośród nich. Z tych względów, w porozumieniu z powiatowymi władzami administracyjnymi, został utworzony w stadninie i stadzie oddział samoobrony. Uzbrojeni członkowie tego oddziału pełnili warty, szczególnie po zapadnięciu zmroku.

W dniu 1 września 1939 r. praca w stadninie zaczęła się o godz. 4.00, jak każdego dnia w okresie letnim. Około godz. 5 dały się słyszeć silne i liczne detonacje. Komentarze na ich temat były różne, ale nikt jeszcze wtedy nie przypuszczał, że zaczęła się wojna. O godz. 7 już powszechnie było wiadomym, że te wybuchy to bomby niemieckiego lotnictwa rzucone na Podlaską Wytwórnę Samolotów (PWS) w Białej Podlaskiej, że zaczęła się druga wojna światowa. Pomimo pełnych grozy komunikatów radiowych, szerzących się najróżniejszych plotek, znacznej zwyczajki cen na artykuły pierwszej potrzeby - praca w PSK i PSO Janów przebiegała w tych pierwszych dniach wojny w miarę normalnie, choć nastroje wśród załogi były pesymistyczne, pełne niepokoju - co dalej? co nas czeka?

W dniu 4 września, w godzinach popołudniowych, kiedy konie były już w stajniach, niemieckie samoloty w locie ślizgowym zaatakowały obiekty stadniny i stada. Ostrzelane zostały stajnie z broni maszynowej, samoloty zrzuciły kilka bomb - zresztą niecelnie. Pociski karabinowe uszkodziły dachy i wybiły kilkanaście szyb. Nikt z ludzi ani koni nie doznał żadnych obrażeń.

W dniu 8 września wszystkie instytucje płatne z budżetu (a więc i PSK, i PSO) otrzymały polecenie wypłacenia trzymiesięcznego wynagrodzenia z góry i bez żadnych potrąceń. Równocześnie stadnina i stado otrzymały polecenie z Ministerstwa Rolnictwa przygotowania się do ewakuacji. Kuto konie przewidziane do zaprzęgu, ogiery w stadzie, ogiery czołowe i z zakładu treningowego, sprawdzano stan wozów, na które ładowano niezbędne zapasy magazynowe, dokumentację oraz niewielkie ilości owsa, z przeznaczeniem głównie dla koni zaprzęgowych i ogierów czołowych.

W dniu 10 września wyszły z Janowa ogiery PSO. Każdy masztalerz jadący konno miał przy boku drugiego ogiera. Do wozów, do których zaprzęgnięte były ogiery, uwiązane były jeden lub dwa dalsze ogiery. Pomoc ludzi z zewnątrz do ewakuacji stada była prawie niepotrzebna. Znacznie gorzej

przedstawiała się sprawa prowadzenia koni stadniny: klaczy ze źrebakami i młodzieży. Pod siodłem mogło iść 8 ogierów czołowych i ok. 20 z zakładu treningowego, a resztę tzn. ok. 100 klaczy i 150 sztuk młodzieży trzeba było prowadzić w rękę. Problem ten pomogły rozwiązać kierownictwu stadniny nawoływania przez radio o konieczności ewakuowania się ludności cywilnej szczególnie mężczyzn, przed wojskiem niemieckim na wschód. Za pośrednictwem burmistrza miasteczka Janów Podlaski (prawa miejskie Janów otrzymał w XV w., odebrano mu je w 1945 r.) zostały przeprowadzone rozmowy z mieszkańcami Janowa. Zgłosiło się wielu chętnych do prowadzenia koni, którzy woleli ewakuować się w zorganizowanej grupie niż iść na własną rękę. Za pośrednictwem urzędujących jeszcze władz powiatowych od naczelnika wydziału chowu koni w Ministerstwie Rolnictwa (Witolda Pruskiego) stadnina otrzymała polecenie ewakuacji - kierunek południowy wschód, bez określenia miejscowości docelowej.

W dniu 11 września ok. godz. 17 wyszło ze stadniny ok. 260 koni i 19 wozów konnych. Kierownik stadniny wspólnie z kierownikiem zakładu treningowego postanowili: marsze tylko nocą celem uniknięcia ataków lotnictwa niemieckiego, możliwe tylko bocznymi drogami ze względu na kopyta niekutych koni, długość jednego etapu 20-30 km. Nikomu z członków rodzin pracowników nie wolno było jechać na wozach stadniny.



fot. Marian Gadzalski

Najtrudniejszy był pierwszy dzień marszu. Konie, szczególnie młodzież, nieprzyzwyczajone do prowadzenia w rękę i to po kilka spiętych łańcuchem, wypoczęta, pełna energii, a do tego wielu prowadzących nie miało wiele wspólnego z końmi. Po przejściu kilkudziesięciu kilometrów bocznymi drogami stadnina, chcąc przekroczyć rzekę Krzynę, musiała przejść odcinek ok. 2 km szosą bitą Warszawa - Brześć n. Bugiem. Do szosy kolumna doszła ok. godz. 1 w nocy koło wsi Woskrzenice. Szosą w kierunku Brześcia przemieszczały się różne nieliczne grupy żołnierzy, uciekinierzy cywilni wozami konnymi, rowerami lub pieszo. Kolumna stadniny miała ok. 2 km długości. Zatrzymani, użytkownicy szosy powinni byli przepuścić całą kolumnę. Niestety, tak się nie stało. Po wyjściu na szosę ponad połowy koni jeden z niecierpliwych kierowców wojskowej ciężarówki włączył światła i na sygnale zaczął wyprzedzać będące na szosie konie. Wystarczyło, że jedna czwórka młodych koni spiętych ze sobą wyrwała się prowadzącemu i galopowała przed jadącą tuż za nią ciężarówką. Tętent koni galopujących, światła samochodu, warkot silnika płoszyły mijane konie, które przestraszone wyrwały się prowadzącym. Kilku utrzymało konie, kilkunastu puściło. Próby zatrzymania uciekających koni nie dały rezultatu. Cała ta ucieczka skończyła się szczęśliwie, bo uciekające w tumanach kurzu, wystraszone konie nie stratowały nikogo z prowadzących ani z napotkanych uciekinierów. Był to pierwszy tragiczny moment w czasie ewakuacji stadniny. Po przejściu mostu na Krzynie i zejściu kolumny znowu na boczną drogę w kierunku Sławatycz, pomimo ciemności został zrobiony jako tako remanent wśród koni. Ustalono, że tej nocy uciekło ponad 80 koni w różnym wieku, przeważnie młodzieży. Ze starszych koni zginęła jedynie ze źrebakiem córka Kuhailana Haiti - Oda. Nad ranem dołączyło do kolumny jedynie dwóch synów Kaszmiry, jeden z nich - Taki Pan od Dziwy po wojnie był czołowym w stadninie koni w Tiersku (ZSRR). W ciągu dnia stadnina po tej ciężkiej nocy odpoczywała w Piszczacu. Po jakimś takim odpoczynku znowu ok. godz. 17 kolumna ruszyła w dalszą drogę do Międzyzlesia, gdzie znowu stała w ciągu dnia. Kwatery dla koni i miejsca na wozy wyszukiwali masztalerze, którzy jadąc konno pod komendą kierownika zakładu treningowego wyprzedzali całą kolumnę, a po dojściu koni wiedzieli gdzie, jakie i ile koni można skierować. Konie stawały w oborach, stajniach i szopach, wozy w stodołach. W ciągu dnia konie były 2-3 razy pojone, dostawały siano kupowane na miejscu (kupowało się całe stożki), a ogiery idące pod siodłem i konie w zaprzęgu otrzymywały dwa razy dziennie owies. Ludzie odpoczywali tam gdzie znaleźli sobie jakieś miejsce, musiało to być blisko koni, żywili się początkowo zapasami wziętymi z domu, a następnie zdobytymi

we własnym zakresie.

Następną noc jakoś bez wypadku udało się konie przeprowadzić niedokończonym mostem przez Bug, między Sławatyczami a Domaszewem. Za Bugiem, na drogach, którymi posuwała się stadnina ruch był znacznie mniejszy. Uciekinierzy unikali tych dróg ze względu na ubogą miejscową ludność łakomą na dobra, jakie uciekinierzy mieli ze sobą. Kolejny postój wypadł, w bogatej jak na tamtejsze stosunki wsi

Czersk. Konie szły już znacznie lepiej niż w pierwszym dniu, stan zdrowotny koni był zadowalający. Jedyne Kuhailan Said syn Kuhailana Zaida or. ar., importowanego z Arabii przez B. Ziętarskiego dla stadniny Babolna razem z Kuhailanem Haiti, zagorączkował na tle przeziębienia. Leczenie zastosowane przez lekarzy wet. T. Gruszkę i J. Wilczyńskiego (dołączył do stadniny swoim zaprzęgiem) pozwoliło po dwóch dniach wziąć konie znowu pod siodło. Gorzej zaczynało się dziać z końmi zaprzęgowymi. Klacze idące w wozach, nieprzyzwyczajone do ciężkiej i długotrwałej pracy, odparzały się od uprzęży i na ciężkich odcinkach drogi odmawiały ciągnięcia. Lepiej znosiły trudy marszu wdrożone do pracy konie robocze z gospodarstwa przy stadninie. Następną postój w ciągu dnia wypadł w miejscowości Orzechowa, do której idąc kolumna musiała parę kilometrów przejść szosą Kobryń – Włodawa.



fot. Marian Gadzalski

W dzień i w nocy było słychać artylerię właściwie ze wszystkich stron, w nocy widoczne były luny pożarów. Docierały do janowskich

ludzi najrozmaitsze wiadomości bardzo różnymi drogami, na temat posuwania się wojsk niemieckich, zachowania się żołnierzy Wehrmachtu na terenach zajętych, ataków lotnictwa niemieckiego itd. Wprowadzały one zły nastrój wśród ludzi prowadzących konie, rozbudzały niepokój o pozostawione rodziny, nasuwały wątpliwości, czy cała ewakuacja ma jakiś sens i jak ten marsz się skończy. Między innymi wiadomościami, które mimo braku jakiegokolwiek łączności dotarły do janowskiej stadniny, były i tragiczne. Otóż pracownicy janowskiej stadniny dowiedzieli się, że pod Maciejowicami Niemcy zbombardowali ewakuowaną stadninę koni z Racotu i od bomb niemieckich lotników zginął kierownik stadniny Władysław Siemiński, pod Nowym Miastem nad Wisłą zostało zbombardowane PSO Bogusławice i zginął kierownik Tadeusz Nosarzewski. W świetle tych faktów okazało się, że decyzja kierownika janowskiej stadniny poruszania się tylko nocą była jak najbardziej słuszna. Do janowskiej stadniny dołączyło kilku masztalerzy PSO Białka, przynieśli oni wiadomość o tragicznej śmierci kierownika stada Kaliksta Sosnowskiego. Następnym odcinkiem wędrowki stadniny przebiegał z Orzechowa do Zabłocia bardzo wąskimi polnymi i leśnymi drogami, często błotnistymi lub piaszczystymi. Konie zaprzęgowe jeszcze ciągnęły jakoś wozy dzięki znacznemu ubytkowi ciężaru po spasieniu sporej ilości owsa.

W miejscowości Retno kolumna stadniny przeszła w poprzek szosę Brześć - Kowel i skierowała się na Kamień Koszyrski, gdzie według otrzymanych informacji urzędowała jeszcze władza administracyjna, mająca rzekomo jakieś pewne wiadomości dla uciekających. Postój wypadł we wsi Postupla, w której spotkano uciekinierów z wozami konnymi nawet z woj. poznańskiego. Ci ostatni w dalszą drogę dołączyli do kolumny stadniny. Od początku ewakuacji dopisywała pogoda, w dzień było słonecznie i ciepło, nocie pogodne i chłodne. Sprzyjała ona stadninie w marszu, ale sprzyjała też naszym najeźdźcom. Od wsi Postupla pogoda zaczęła się psuć, mżawka w dzień nie bardzo przeszkadzała, ale nocy panowały ciemności, jadący konno z trudem widzieli głowę swego wierzchowca, a wobec tego, co można było mówić o drodze? Z Postupli przez Rakowy Las miała stadnina dotrzeć do Kletycka. Droga na ostatnim tej nocy odcinku była fatalna, wąska, błotnista, a jak się później okazało z obu stron ogrodzona drutem kolczastym. Ze względu na panujące ciemności kolumnę prowadził miejscowy przewodnik. Jeden z koni wierzchowych idący na przedzie kolumny zaczepił nogą o urwany drut.

Zaczął bić zadem wplątując sobie drut również w drugą nogę. Zatrzymała się cała kolumna. Konie prowadzone w rękę mieściły się między drutami, a zatrzymane rozsuwały się i trafiały nogami w druty. Podekscytowane ruchem na czele kolumny, dotykając nogami drutów, zaczęły także bić zadnimi nogami. Ruszyć do przodu nie można było, gdyż jedna z klaczy tak się zaplątała w druty, że się wywróciła, tarasując drogę. W posiadanych przez ludzi latarkach wyczerpały się baterie. Raczej na wycucie, wśród zupełnych ciemności, trzeba było rozplątywać konie z drutu. Duże niebezpieczeństwo dodatkowo powodowały konie, które się wyrwały i biegały wzdłuż lub w poprzek kolumny, nierzadko ciągnąc za sobą przyczepiony do nogi lub ogona kawałek drutu, czasem nawet z przyczepionym

wyrwanym z ziemi słupkiem. Sytuacja stawała się dramatyczna, gdyż coraz więcej koni biegało płosząc te jeszcze trzymane przez prowadzących. Z nastaniem świtu sprawę opanowano: straty spowodowane tym wydarzeniem wyniosły 8 koni, między innymi trzeba było zgładzić 3 konie starsze ze złamanymi nogami. Wśród tych ostatnich była siostra Kaszmira Laka (Farys- Hebda). Kilkanaście koni było pokaleczonych. Ofir tak sobie zaplątał tylne nogi, że upadł, tylko dzięki spokojnemu zachowaniu można było go z drutów uwolnić. W każdym bądź razie po dojściu na dzienny postój we wsi Kletycko lekarze nie odpoczywali, cały dzień opatrywali konie z ranami po drutach. W Kletycku dotarła do stadniny wiadomość, że armia radziecka wkroczyła do Polski! Spowodowało to konsternację kierownictwa stadniny - co dalej wywołało rozluźnienie dyscypliny wśród ludzi, szczególnie najemnych. Spora grupa ludzi nie chciała prowadzić dalej koni, a wszelkie polecenia przełożonych były różnie komentowane.



fol. Marian Gadzalski

Po przeprowadzonych rozmowach w ciągu dnia, jakoś udało się

ludzi zmobilizować do dalszej drogi i po nastaniu zmierzchu stadnina ruszyła w kierunku Kowla. Mrzawka, ciemno, widoczne łuny pożarów, odgłosy artylerii działały fatalnie na psychikę wszystkich, cisnęło się pytanie: dokąd idziemy, po co i co będzie z nami?

Zbliżając się do Kowla, we wsi Niesuchojeże, około północy stadnina spotkała grupy uciekinierów kierujących się na zachód, którzy twierdzili, że w Kowlu już są wojska radzieckie i dalszy marsz stadniny nie ma żadnego celu. Kierownik stadniny po rozmowie przeprowadzonej ze spotkanym pułkownikiem wojska polskiego, zdając sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nim ciąży za całość stadniny, postanowił wracać do Janowa. Liczył, że w luce między posuwającymi się wojskami radzieckimi na zachód, a cofającymi się oddziałami niemieckimi, jakoś może uda się konie doprowadzić do Janowa. Uważał, że zagarnięcie koni w drodze przez którąkolwiek armię będzie się równało z ich zagładą. Zmęczenie i zniechęcenie zaczęło brać górę wśród ludzi prowadzących konie. Ponadto ze strony miejscowej ludności, a także wielu uciekinierów, mieli propozycje oddania lub sprzedania koni, bo „Państwo Polskie nie istnieje, konie są niczyje”.

W takim złym nastroju, skrajnie wyczerpana dotychczasową drogą, kolumna zamiast wrócić do Kletycka zmyliła drogę i z nastaniem świtu znalazła się we wsi Wierchy. W wiosce tej liczna grupa mężczyzn narodowości ukraińskiej atakowała posterunek polskiej policji. Nastawienie przywódców tej grupy do stadniny było również wrogie. W tej sytuacji kierownik stadniny podjął decyzję, aby pomimo zmęczenia ludzi i koni, kontynuować marsz. Około godz. 10.30 stadnina udała się w dalszą drogę, pozostawiając za sobą nadal oblężony posterunek oraz kilkadziesiąt żon oficerów polskich z dziećmi, które bojąc się miejscowej ludności prosiły o pomoc. Zabranie ich z tej tak niebezpiecznej wioski, dokąd je przywieziono w ramach ewakuacji i pozostawiono, było niemożliwe. Stadnina tej pomocy im udzielić nie mogła. Wymarsz z wioski ubezpieczał spory zbrojny oddział, częściowo konny, dobrze uzbrojony, pod komendą kierownika zakładu treningowego. Broń, porzucona przez polskich żołnierzy, była zbierana po przydrożnych rowach.

Trasa marszu prowadziła przez Kamień Koszyrski do Rakowego Lasu, gdzie konie i ludzie odpoczywali pierwszą noc od chwili wyjścia z Janowa. Postój w dzień pozwolił sprawdzić stany ilościowe koni oraz ich stan zdrowotny. Konie bardzo pochudły, wiele było otartych, kulawych, podbitych, a także okazało się, że kilkanaście koni prowadzący sprzedali lub oddali miejscowej ludności lub uciekinierom. Najgorzej przedstawiały się konie zaprzęgowe. W związku z powyższym, w majątku o tej samej nazwie zostały zdeponowane wszystkie materiały magazynowe zabrane z Janowa, jak również część dokumentacji i biblioteka stadniny. Pracownicy swoje rzeczy osobiste musieli przepakować z różnych drewnianych skrzynek do worków, żeby zmniejszyć ciężar na wozach do minimum. Następną nocleg wypadł w majątku i wsi Budzaki. Tam też od sporej grupy uciekinierów otrzymał kierownik stadniny dokładną informację o sytuacji, jaka powstała w Polsce wobec wkroczenia Armii Radzieckiej. Dalszą drogę stadniny bardzo utrudniały duże grupy uciekinierów udających się pieszo lub wozami konnymi tym razem już na zachód. Ze względu na występujące wrogie nastawienie miejscowej ludności do uciekinierów, ci ostatni prawie siłą włączali się w kolumnę stadniny, uważając, że w licznej grupie będą bezpieczniejsi.

Kolumna stadniny miała około 2 km długości, przez dołączenie wielu zaprzęgów konnych obcych, grup uciekinierów pieszych, którzy siłą pchali się na wozy stadniny, tabor rozciągnął się na przestrzeni 3-4 km. W tej sytuacji kontakt z prowadzącymi konie był coraz trudniejszy, posuwanie się kolumny utrudnione. Wszystko to działo się w atmosferze podniecenia, zmęczenia, niepewności co będzie jutro, a ponadto stosunek ludności miejscowej był wręcz wrogi. Zakwaterowanie koni, ze względu na wymieszanie kolumny stadniny z uciekinierami, też było znacznie utrudnione.

Etap Budzaki - Szack przeszedł spokojnie, bez żadnych specjalnych wydarzeń. Z Szacka stadnina skierowała się przez Piszczę na Włodawę do wsi Wytyki na lewym brzegu Bugu. Przed dojściem do Włodawy na szosie napotkali dziesiątki uciekinierów, którzy czekali na wejście do Włodawy po uzyskaniu pewności, że Niemcy już się wycofali. Niemcy wycofując się spalili jedyny drewniany most na Bugu. Konie stadniny musiały Bug przejść wplaw, po brodzie wskazanym przez miejscową ludność, około 150 m powyżej spalonego mostu. W trakcie tej przeprawy nie zabrakło wielu wesołych momentów, zresztą humory u ludzi znacznie się poprawiły, bo i pogoda zrobiła się znowu prawie letnia i szli przecież do domu. W Wirykach, gdzie obok ludności polskiej mieszkali Ukraińcy, niejednokrotnie chciano wprowadzić konie na podwórze lub do stodoły. Trzeba było używać siły. W nocy koni pilnował uzbrojony oddział zorganizowany spośród masztalerzy.

Kierownik stadniny dowiedział się, że wojska radzieckie znacznie zbliżyły się do stadniny i przysłowiowo „depczą jej po piętach”. Wobec tego postanowił ostatnie dzielące stadninę do Janowa 80 km pokonać bez dłuższych postojów. Od Wisznicy rozpoczęła się droga bita, która wykończyła już częściowo podbite i kulawe konie, szczególnie ucierpiały sysaki i roczniaki. Ludzie zmęczeni, z obtartymi nogami, siadali na roczniaki i dwulatki, kładąc na grzbiet worek z sianem, a nogi w przełożone przez grzbiet pętle zrobione ze sznurków. Te prowizoryczne strzemiona, jak się później okazało, porobiły koniom rany aż do kręgosłupa. Wchodząc do Białej Podlaskiej słychać było strzały, lecz Niemcy wycofali się przed kilku godzinami.

Do Janowa konie doszły (niektóre prawie dowlekły się) 25 września o godz. 3.30. W ciągu 14-dniowej wędrówki przeszły około 350 km. W części stajen w Janowie stały konie ewakuowane z Toru Wyścigowego z Warszawy, z PSK Kozienice i od różnych właścicieli prywatnych. Jak te konie były, nic nie było wiadomym, bo obsługa w większości uciekła zostawiając konie na pastwę losu. W stajniach też biwakowali uciekinierzy cywilni.

Ogierzy PSO w Janowie Podlaskim wróciły poprzedniego dnia. Według relacji kierownika PSO, po południu 24 września na teren stadniny przyjechały trzy niemieckie wozy pancerne. Dowódca tej jednostki wydał polecenie przyprowadzenia wszystkich ogierów w dniu 25 września do stacji kolejowej Siedlce, skąd rzekomo miały być przetransportowane koleją do Prus Wschodnich. Za niewykonanie rozkazu zagroził karą śmierci i wycofał się z Janowa. Z chwilą przyjścia stadniny, stado ogierów

przygotowywało się do wymarszu. Około godziny 7 do stadniny przyjechało 5 radzieckich wozów pancernych. Dowódca zapowiedział, że konie zostają na miejscu i Niemcy nic tu nie mają do rozkazywania. Tego dnia po południu do stadniny przyszła kompania radzieckiej piechoty, dowódca jej zarządził ewakuację wszystkich koni, „bo Niemcy jadą”. Przy pomocy radzieckich żołnierzy wszystkie konie zostały wyprowadzone do lasu za folwarkiem Pieczyska lub do wsi Werchliś. Po kilku godzinach konie wróciły do stajen. Tydzień od 25 września do 1 października minął raczej spokojnie. Konie trochę odpoczęły, odjadły się, lekarz częściowo zaleczył rany. Jedyne od czasu do czasu przyjeżdżał jakiś oficer radziecki na kulawym, chudym koniu, zabierał w zamian ze stadniny ogiera z siodłem sportowym. Zakaz rekwizycji koni stadniny i stada wydany na prośbę kierownika stadniny przez radzieckiego komendanta rejonu, został podarty przez pierwszego, któremu go pokazano. Rewolucyjny Komitet w Janowie Podlaskim, w celu ochrony koni przed zakusami ludności mieszkającej za Bugiem, wydał stadninie i stadu 10 karabinów i polecił zorganizować oddział samoobrony. W dniu 1 października przyjechało do stadniny kilku oficerów radzieckich, a najstarszy rangą, pułkownik wydał polecenie przygotowania spisów koni w języku polskim i rosyjskim oraz birek (wpleciona w grzywę tabliczka z oznaczeniami identyfikacyjnymi) do wplecenia w grzywy. Rozkaz ten został przyjęty i zrozumiany jako przygotowanie do wyprowadzenia koni z Janowa przez Armię Radziecką.

2 października stacjonujący między stajniami oddział radziecki sprowadził ludność zza Bugu i wspólnie z nią wyprowadził za Bug (promem) wszystkie ogiery stada, czołowe ze stadniny i z zakładu treningowego. Niepotrzebne były spisy, wykazy, birki, konie zabierano w największym, jaki można sobie wyobrazić, bałaganie i rozgardiaszu. Po zapadnięciu zmroku na terenie stadniny zostali tylko żołnierze radzieccy koczujący na dworze. Teren oświetlali i sami się grzali ogniskami, na które początkowo brano ogrodzenia wybiegów i pastwisk, a w miarę jak ich zabrakło urządzenia stajenne (ściany boksów, drzwi, okna itp.).

3 października na sygnał, dany ręczną syreną pożarową przez żołnierzy radzieckich, na teren stadniny i stada wpadło kilkuset mieszkańców wioski położonych za Bugiem. W pierwszym rzędzie rozgrabione zostały konie, zabierane ze stajen w strasliwym chaosie, wrywaniu sobie koni itd. Konie bez względu na wiek i rasę były zakładane do różnych pojazdów, które łamały, nieraz robiąc sobie poważną krzywdę. Po koniach przyszła kolej na uprzęże, siodła i wszystko to, co było w stajniach. Tłum szalał, płał się w grabieży, kradł i niszczył to, co było „solą w oku” przez 20 lat niepodległości Państwa Polskiego. Po zapadnięciu zmroku między stajniami zostali znowu tylko żołnierze przy kilkudziesięciu ogniskach. W następnych dniach do 8 października, od godzin porannych do zapadnięcia zmroku, na terenie stadniny przebywało kilkuset mieszkańców zza Bugu z furmankami, którymi wywozili w następującej kolejności: zapasy magazynowe, niemłócone zboże ze stodoły i stert, siano ze stogów, drewno z tartaku przetarte i dłużyce, wraz z urządzeniami tartaku i elektrowni, cegłę z cegielni (około 250 tys. szt.), drewno opałowe z lasu (około 1000 m³). W następnych dniach „zabuźacy” kopali ziemniaki, buraki i marchew w polu, zabierając poprzednio wszystko, co było w podwórzu gospodarstwa, a więc krowy, konie robocze itd. Nawet zdarzały się wypadki zdejmowania blachy z dachów stajen. Kiedy już zabrakło do grabieży dóbr stadniny i stada, zaczęto okradać mieszkania, naprzód kierownika stadniny, koniuszego itd. Tak się tłum rozsmakował w grabieży, że planował zdobycie łupów w kościele i seminarium duchownym w Janowie. Jedyne zdecydowana postawa mieszkańców Janowa nie dopuściła do tej grabieży. Równocześnie z okradaniem stadniny i stada, przez teren stadniny do promu na Bugu przemieszczały się oddziały radzieckie pędzące bydło z okolicznych majątków, oraz wioząc urządzenia domów ukradzione na terenach sąsiadujących z Janowem Podlaskim. Przed rozwydrzoną ludnością zza Bugu kierownik stadniny musiał schronić się w miasteczku Janów.

Od dnia 10 października nastąpił całkowity spokój na terenie stadniny. Od czasu do czasu przez teren stadniny w kierunku Bugu przejeżdżał konno jakiś nieduży oddziałek radziecki, nie zatrzymując się w stadninie. Teren stadniny i stada ogierów robił wrażenie olbrzymiego śmietnika. Stajnie częściowo bez pokrycia dachowego, bez drzwi, okien, boksów, ogrodzenia porozbierane, szpalery połamane, rozjeżdżone, popioły po ogniskach, wszędzie pełno porozrzucanych śmieci, siana, słomy i obornika.

W stajniach została jedynie Najada siwa (Fetysz - Gazella II), ur. 1932 r., która nie pozwoliła się wyprowadzić z boksu rabującym konie. W nocy zabrał ją gospodarz z sąsiedniej wioski i wróciła do stadniny w grudniu 1939 r.

Pierwszy etap historii janowskiej stadniny zakończył się po ewakuacji koni w głąb carskiej Rosji w 1914 r. Drugi - w dniu 10 października 1939 r., kiedy nie było w stajniach żadnego konia, a wszystkie urządzenia były zniszczone. Tak smutnie zakończył się wspaniały rozwój stadniny w okresie międzywojennym.

13 października w godzinach popołudniowych pojawiły się w stadninie pancerne wozy niemieckiego Wermachtu. Niemcy byli zaskoczeni, że armia radziecka sprzątnęła im „sprzed nosa” konie, a obiekt zostawiła prawie doszczętnie zrujnowany. W parę dni później do stadniny i stada ogierów w Janowie Podlaskim przyjechał szef stadnin państwowych na terenach okupowanych przez Niemców pik. dr Gustaw Rau (Oberlandstallmeister). Płk. G. Rau powiadomił kierownika PSK Janów, że przed paru dniami został rozstrzelany w Starogardzie przez Niemców kierownik PSO Starogard Zdzisław Koziół Poklewski, który w latach 1927-1934 był kierownikiem PSO w Janowie Podlaskim. Powodem rozstrzelania było zorganizowanie przez Z. Koziół Poklewskiego ewakuacji ogierów przed wojskami niemieckimi. W dniu

2 listopada zjechała do Janowa wojskowa komenda z mjr. Grummem na czele, kilku urzędnikami i kilkunastoma żołnierzami ochrony. Pierwszą zorganizowaną robotą w stadninie i stadzie było doprowadzenie całego obiektu do jakiegoś takiego wyglądu i przystąpiono do remontu stajen. Do pracy zaangażowano wszystkich masztalerzy oraz przyprowadzanych codziennie z miasteczka Janów około 200 mieszkańców pochodzenia żydowskiego. W tym też okresie został wydelegowany na teren powiatu Biała Podlaska koniuszy stadniny Stanisław Więcek znający język niemiecki, w celu odnalezienia koni zgubionych podczas pierwszego etapu ewakuacji wrześniowej. Wyznaczona została nagroda, początkowo w wysokości 250 zł, a następnie 500 zł za oddanie janowskiego konia, lub wskazanie gdzie lub u kogo koń się znajduje. S. Więcek znalezione konie zbierał w majątku Potockich w Hałasach koło Międzyrzecza Podlaskiego.

Po remoncie najmniej zniszczonych stajen tzw. czołowej i wyścigowej (jedno skrzydło), w dniu 19 grudnia wojskowymi samochodami zostały przetransportowane do Janowa pierwsze konie z tych znalezionych. Było ich 21. Wśród koni zgubionych w pierwszym dniu ewakuacji stadniny, w dniu 11 września i odnalezionych przez koniuszego St. Więcka znalazły się między innymi i wróciły do stajen stadniny:

1. Trypolis (Enwer Bey - Kahira), siwy, ur. 1937 r.
2. Wielki Szlem (Ofir - Elegantka), gn., ur. 1938r.
3. Witraż (Ofir - Makata), gn. ur. 1938 r.

Te trzy ogiery, używane podczas wojny jako czołowe, walczyły przyczyniły się do odbudowy hodowli konia arabskiego w Polsce po II wojnie światowej. Tak się zaczęła ponowna odbudowa hodowli w janowskiej stadninie. Dalsze znalezione konie, przychodziły w ciągu 1940 r. W styczniu 1940 r. przysły do Janowa pierwsze ogiery punktowe ze stad ogierów na Prusach Wschodnich. Niemiecka komenda stadniny i stada, poza masztalerzami, zatrudniła przedwojennych rzemieślników, a także na stanowiskach technicznych asystentów kierownika Stanisława Pohoskiego i Tadeusza Marchowieckiego.

Przebieg wydarzeń w stadninie i stadzie w Janowie Podlaskim w 1940 r. i latach następnych wychodzi już poza ramy niniejszego artykułu.